

Suknia Ludowego

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

PAWEŁ GŁOWACKI

Stuletnia księżna angielska, która co sobotę organizowała bombastyczne bale, postanowiła uczynić coś wyjątkowego, popełnić gest wysoce awangardowy, godny najtęszych rewolucjonistów teatralnych. Otóż, postanowiła rozbić się w kulminacyjnym momencie każdej imprezy i dokumentnie goła brawurowo przeczłapywać przez taneczną komnatę. Artystyczny jej trud trwał bez echa bite pięć lat, aż którejś soboty kontemplując kolejną gołą marszrutę, młody markiz rzekł do kolegi: „*Jak sądzisz, John, czemu księżna od pięciu lat chodzi w tej samej sukni i do tego jej nie prasuje?*”

Na premierze „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie” Petra Zelenki, co je w Teatrze Ludowym Andrzej Celiński wyreżyserował, cały czas – pełne trzy godziny z dwiema przerwami – myślałem o biednej księżnej, o pechu jej przedśmiertnej estetyki, o awangardzie płonnej, skazanej na bycie kulą grzęznącą w płocie, parą idącą w gwizdek, cudactwem godnym baby z brodą w tanim cyrku pod Łomżą.

Nie mam siły opisywać seansu Celińskiego, nie mam siły streszczać opowieści Zelenki. Niech wystarczy, że oto w jakimś szaruteńkim miejscu miasta kilka szaruteńkich kobiet i kilku szaruteńkich mężczyzn szaruteńko wegetuje od dnia do dnia, od miłości do miłości, od niespełnialnego marzenia do niespełnialnego marzenia. Stygną sobie, jak Pan Bóg planktonowi ludzkiemu przykazał. Żyją płasciutko, myślą prościutko, czują naiwniutko. Przeszłość – bez znaczenia. Przyszłość – niepotrzebna. Teraźniejszość – mulista. Mulisty codzienny zestaw odwiecznie tych samych gagów, gestów, słów, wódek, manii i wszelkiej lichoty. Muliście trwanie dzień po dniu. Nie mam siły detalicznie recytować tej mulistości, a i nie widzę potrzeby. Niechaj jako sedno, figura całości posłuży gag portretujący faceta czującego miętę do sprzętu AGD i nie tylko...

Wykorzystując, że tak to ujmę, anatomiczną budowę oraz wsysający talent odkurzacza, bohater nasz pięknie peroruje o swych nocnych figlach z odkurzaczem, po czym urywa opowieść i przechodzi do czynu. Otóż, nakłania do pochopności – umywalkę. Trudno mu się dziwić. Umywalka nie dość, że w kluczowym punkcie przypomina anatomie odkurzacza, to jeśli odkręcić ciepłą wodę i dodać odrobinę mydła – jest od odkurzacza atrakcyjniejsza, cichsza i niechybnie miłsza w dotyku... Urywam. Wystarczy?

Czy istnieje coś bardziej cudaczniejszego niż artysta bezkompromisowy – kat mentalności kołtuńskiej – którego bezkompromisowe batożenie kołtuństwa powoduje co najwyżej sen znudzonego świata? Czy jest coś mocniej kłopotliwego niż dzielny kontestator, któremu w kulminacyjnym momencie dzielnego procederu doro-

śli mówią: „*Ładnie się bawisz, Jędrus, ale teraz – ząbki, paciorek i lulu. No już, Jędrus, nie rób mamusi przykrości?*”

Bieda historii z seksem umywalkowym nie jest biedą opowieści Zelenki, jest biedą reżyserii Celińskiego. Rzecz najfatalniejsza z możliwych w tym, iż z umywalkowego kawałka Celiński wykrzeszał – „slapstikowe” jajcarstwo. Nic więcej. Ze zdań Zelenki wyczytał uroki godne filmów z Flipem i Flapem, zmienił je w płaski rechot. I tak ze wszystkim przez bite trzy godziny. Tak z każdą sceną, z każdą rolą, z każdym napisanym uczuciem. Smutek staje się kabaretem smutku. Małe radości nabierają porażającej płytkości. Miłość, wściekłość, bezradność całego tego planktonu ludzkiego, wszystkich tych Piotrów, Much, Matek, Ojców, Janów, Tancerek i innych Jerzych – obracają się w gips iście odpustowy, w coś na podobieństwo tanich świecidełek, w uczucia po prostu bibułowe. Tu rodzi się nuda. Tu są początki senności. Tu – w kabaretowo-jarmarczonym odczytaniu sztuki Zelenki – „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie” stają się bezsilne jak awangardowa suknia stuletniej księżnej angielskiej.

Owszem – scena obrotowa wiruje dziarsko, niczym karuzela na Bielanych co niedziela. Nie wiadomo tylko, po jakiego diabła? Dla uatrakcyjnienia wieczoru? W takim razie proponuję wprowadzić jeszcze strzelanie do balonów z wiatrówek. Tak jest – śmieszne miny klaunów robiąc, aktorzy śmiesznie przełazą z nic nie znaczącej scenki do nic nie znaczącej scenki. Przepraszam najmocniej, ale czy reżyser sprawdził, jak całość by wypadła, gdyby przechodzili nie śmiesznie i bez strojenia klaunich grymasów? Nie inaczej – gag goni gag jak Flip gonił Flapa w czasach młodości stuletniej księżnej angielskiej, oj goni, bardzo goni. I dlatego stawiam stare, piękne pytanie, co je rektor Fulde awangardowym dowcipnisiom na reżyserskich egzaminach w krakowskiej PWST z lubością zadawał. „*Można też tak – ino po co, młodzieńcze, po co?*”

Tak, po co komu karuzela, gagi, klaunady, odpust i „slapstikowe” jajcarstwo, skoro opowieść Zelenki – jej specjalny humor, jej ciemna groteskowość, jej delikatny smutek – ma gdzieś na dnie gorycz śmiesznych opowieści Hrabala, cierpki chichot Haszka, może nawet dyskretną pamięć o szarym człeku, który się u Kafki w robaka nocą przemienił? Nie wiem, więc pytaniem odpowiem. Jak sądzisz, John, jeśli dyrekcja Ludowego chciała udrożnić umywalkę, to czemu wezwała reżysera, a nie hydraulika?

Teatr Ludowy. Petr Zelenka „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie”. Reżyseria Andrzej Celiński. Scenografia Elżbieta Krywsza.